

Czy wolno nam godzić się na regresję roli krajowego zaplecza naukowego w rozwoju polskiego rolnictwa?

Henryk Jasiorowski

Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego, ul. Ciszewskiego 8, 02-786 Warszawa

Autor tego artykułu zdaje sobie sprawę z tego, że już samo postawienie takiego pytania, musi wielu Czytelników szokować, budzić ich odruchowy sprzeciw, a nawet oburzenie. I wcale się takiej ich pierwszej reakcji nie będzie dziwił. Przywykliśmy bowiem do opinii o twórczej roli środowisk naukowych oraz wyników ich badań w społecznym, kulturowym i gospodarczym rozwoju narodów. Powszechnie akceptowany jest też pogląd, że rozwój światowego rolnictwa, a szczególnie spektakularny w ostatnich latach wzrost produkcji żywności w świecie nie byłby możliwy bez nowych odkryć naukowych, ich mozolnego wdrażania oraz kształcenia wysoko kwalifikowanych kadr.

Spółeczeństwa świata i ich rządy zdają się dobrze to rozumieć, szczególnie w okresach niedoboru żywności. Przykładem może być spektakularny wzrost zainteresowania badaniami w dziedzinie rolnictwa i kształceniem wysoko kwalifikowanej kadry w tym zakresie po ostatniej wojnie światowej, co obserwowaliśmy także u nas. Łatwo dostrzegalny był wówczas ogromny społeczny wysiłek w celu rozbudowy szkolnictwa rolniczego, tak zawodowego jak i akademickiego, powstanie wielu rolniczych instytutów badawczych, zarówno resortu rolnictwa jak i Polskiej Akademii Nauk oraz sieci ośrodków doradztwa rolniczego. Rezultaty w produkcji i rozwoju rolnictwa były widoczne dla każdego, choć jak w każdym innym podobnym przypadku można się spierać co do adekwatności poniesionych kosztów i wysiłków w stosunku do ich rezultatów. Dzisiaj, choć musimy przyznać, że główne nowatorskie i decydujące o postępie w produkcji metody w rolnictwie pochodzą

z kilku krajów wysoko rozwiniętych (co zresztą obserwujemy w odniesieniu do większości krajów także obecnie), to robiono wszystko, aby je szybko i w miarę twórczo adaptować i wdrażać w naszych warunkach.

Pamiętam ogromną aktywność i zaangażowanie ówczesnego powojennego rolniczego środowiska akademickiego – i to od profesorów do młodych adeptów nauki – na rzecz wspierania rozwoju krajowego rolnictwa, a liczne wówczas spory i dyskusje naukowe potwierdzały nie tylko zawodowe ale też emocjonalne jego zaangażowanie w przewyciężaniu stojących wówczas na drodze rozwoju naszego rolnictwa trudności. I taka atmosfera, co chcę podkreślić z całą mocą, panowała w ówczesnym naszym środowisku niezależnie od poglądów i sympatii politycznych poszczególnych osób.

Z panującej wówczas w rolniczym środowisku naukowym atmosfery chętnie korzystała władza, czego przykładem było powoływanie rad naukowych na licznych jej szczeblach, z radą naukową przy Ministrze Rolnictwa włącznie, która interesowała się wynikami prowadzonych badań, a przed swoimi instytutami stawiała konkretne zadania.

Czy coś zmieniło się od tamtego czasu? Chyba, a raczej na pewno tak. Dziś można odnieść wrażenie, że rolnictwo jak gdyby straciło w naszym kraju dawne znaczenie i atrakcyjność. W społeczeństwie panuje przekonanie, że unijne dotacje załatwiają wszystkie jego problemy. Często natomiast wypomina się, że jest ono rozdrobnione, że wnosi tylko 4% do krajowego produktu brutto, a zatrudnione tam jest aż 16% ludności zawodowo czynnej. **Rzadko natomiast**

pamięta się o tym, że rolnictwo produkuje najważniejsze dobra dla przeżycia rodzaju ludzkiego, tj. żywność oraz o ważnej kulturowej i społecznej roli ludności wiejskiej. No i o tym, że dzięki wysokiej produkcji żywność jest u nas stosunkowo tania i jesteśmy w Europie potentatem w jej eksporcie z bilansem około 5 mld euro netto rocznie. Rezultatem takiej atmosfery jest niedocenianie roli rolnictwa w naszym społeczeństwie, a w tym i znaczenia oraz roli jego naukowego zaplecza. Wszystko zdaje się wskazywać na to, że stwierdzenie to obejmuje także stosunek do rolnictwa i jego zaplecza naukowego naszych ostatnich władz oraz elit politycznych.

Jest to śmiało stwierdzenie ale czy nie potwierdzają go następujące wybrane przykładowo zjawiska?

1. Rolnicze szkolnictwo wyższe

Zacznijmy od kształcenia kadr dla rolnictwa na poziomie wyższym, gdzie na skutek zmniejszającego się napływu studentów podejmowane są ostatnio rozwiązania, które mogą mieć negatywny wpływ na poziom kształcenia przyszłych specjalistów tej dziedziny gospodarki narodowej, na prestiż absolwentów wyższych szkół rolniczych, a pośrednio na pozycję zawodu rolnika w społeczeństwie.

1 A. W poszukiwaniu bardziej atrakcyjnych nazw dla tradycyjnych uczelni rolniczych (dawniej Akademie) usunięto określenie „rolniczy”. Nie zrobiły tego jedynie Uniwersytet Rolniczy w Krakowie oraz Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego, choć ta ostatnia zmieniła dawniej ustaloną nazwę w języku angielskim Warsaw Agriculture University na Warsaw Live Sciences University.

1 B. Jakby tego było mało z list wydziałów na tych uczelniach zniknęły nazwy dawnych wydziałów związanych bezpośrednio z produkcją rolną. Dziś nie ma już na uczelniach – dawniej rolniczych – wydziałów o czyściej i jednoznacznej nazwie rolniczy czy zootechniczny. Zastąpiły je dziwołagi, jak np. „nauk o zwierzętach”, albo wzbogacono je w nazwę w rodzaju „wydział rolnictwa i biologii”. Często wykorzystywanym terminem w nazwie nowych kierunków czy specjalizacji na wydziałach dawniej rolniczych czy zootechnicznych jest biotechnologia, ochrona środowiska, towaroznaw-

stwo, zwierzęta dzikie, zwierzęta towarzyszące i inne o zdawało by się popularnych dziś i przyciągających młodzież nazwach. Wszyscy rozumiemy motyw takiego działania – jest nim troska o ilość studentów. Może jednak dziwić, że inicjatorzy tych kierunków nie zadali sobie wcześniej pytania – dla kogo mają kształcić tego typu specjalistów i gdzie są dla absolwentów tych nowatorskich kierunków miejsca pracy? A co najważniejsze, czy na skutek takich inicjatyw co do nowych kierunków i specjalizacji nie ulegają deprecjacji stare, zasłużone i ciągle potrzebne zawody agronoma czy zootechnika? Czy obniżając prestiż tych specjalizacji nie przyczyniamy się stopniowo do obniżenia aspiracji, a tym samym i poziomu kadry nauczającej na tych kierunkach? Motywy opisanych wyżej decyzji, podejmowanych na dawnych uczelniach rolniczych są znane – są nimi przyciągnięcie większej ilości studentów i wykorzystanie istniejącego potencjału uczelni. Tylko dlaczego przed podejmowaniem decyzji o otwieraniu nowych kierunków studiów nie przeprowadzono odpowiednich badań, jacy nowi specjaliści są w kraju potrzebni i gdzie będą dla nich miejsca pracy. No i niedyskretne pytanie – kto tych przyszłych „biologów”, „biotechnologów”, „specjalistów ochrony środowiska” itp. na dawnych Akademiiach Rolniczych ma kształcić, skoro na tych uczelniach, o ile wiemy, przeważnie brak dostatecznej ilości wysokiej rangi specjalistów w tych dziedzinach i co gorsze – najczęściej nie rekrutuje się ich, wykorzystując starą dostępną kadrę? Jest oczywiste, że takie decyzje nie mogą zachęcać młodych, ambitnych i zdolnych absolwentów szkół średnich do wyboru rolniczych kierunków studiów. No i najważniejsze pytanie, jak parcelacja dawnych silnych wydziałów rolnych szkolnictwa wyższego wpłynęła na poziom obecnych absolwentów tych kierunków, jeśli chodzi o ich potencjalną przydatność dla praktyki rolniczej. Nie ma co chować głowy w piasku – odpowiedź w środowisku rolniczym na to pytanie nie jest niestety pozytywna. Wiemy wszyscy, że przyczyną tych wszystkich zmian na uniwersytetach rolniczych jest chęć przeciwdziałania spadkowi naboru studentów. Nie można dziwić się władzom zagrożonych redukcją finansów i etatów uczelni, że poszukują nowych kierunków kształcenia, ale dlaczego ma to odbywać się kosztem deprecjacji starych, ciągle potrzeb-

nych zawodów. Dlaczego nie zgodzić się na redukcję naboru na kierunki rolnicze albo na zmniejszenie ilości związanych z rolnictwem wydziałów na tych uczelniach, zostawiając najlepszą kadrę nauczycieli akademickich, a pozostały potencjał (sale wykładowe, laboratoria, miejsca w domach studenckich itp.) w sposób jednoznaczny przeznaczyć dla innych kierunków, tworząc nowe wydziały, na absolwentów których przewiduje się zapotrzebowanie, np. biologii, biotechnologii czy socjologii? Sąsiedztwo takich wydziałów – pod warunkiem, że byłyby one obsadzone przez wysokiej rangi specjalistów – mogłoby być bardzo pożyteczne dla wydziałów związanych bezpośrednio z rolnictwem.

Uogólniając uważam, że zachodzące współcześnie na tradycyjnych wydziałach rolniczych i zootechnicznych procesy nie służą dobrze rozwojowi polskiego rolnictwa. Ośmielam się nawet pójść o krok dalej i stwierdzić, że wszystko wskazuje dziś na to, że podjęte wcześniej decyzje o podziale dawniej silnych wydziałów rolniczych na samodzielne wydziały rolnicze, zootechniczne, ekonomiczne itp., bez ustawowego zabezpieczenia ich przyszłych powiązań i współpracy było błędem.

Reasumując, uzasadniony zatem wydaje się być wniosek, że obecny system kształcenia kadr dla rolnictwa na poziomie wyższym, szczególnie na kierunku dawnej agronomii i zootechniki, należy poddać dogłębnej analizie. Nie ma co chować na ten temat głowy w piasku, a należy podjąć dyskusję w zainteresowanych środowiskach z udziałem przedstawicieli akademickich szkół rolniczych, organizacji reprezentujących producentów rolnych, związanych z rolnictwem polityków oraz odpowiedzialnym za rozwój rolnictwa aparatem państwowym, nie pomijając także organizacji młodzieżowych. To w głos przedstawicieli tych środowisk winny wsłuchiwać się władze Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego przed podejmowaniem decyzji o zakresie i kierunkach kształcenia specjalistów dla rolnictwa, przy czym resort rolnictwa i samorządowe organizacje rolników nie powinny, jak dotąd, w stosunku do tych spraw umywać rąk.

2. Ze struktury Polskiej Akademii Nauk

zniknął samodzielny Wydział Nauk Rolniczych i Leśnych (został połączony z wydziałem Nauk Biologicznych).

Co taka decyzja, podjęta w instytucji o najwyższym naukowym autorytecie w kraju, oznacza dla prestiżu nauk rolniczych nie trzeba chyba dowodzić. Nie może też dziwić, że rzadko słychać ostatnio głos tego najwyższego areopagu naukowego w kraju na temat aktualnych problemów krajowego rolnictwa, o ważnych dla praktyki rolniczej wynikach prac jego instytutów czy o wnioskach jego komitetów naukowych?

Zdumiewający był jednak fakt braku jakiegokolwiek reakcji na decyzję obniżenia rangi nauk rolniczych w tej najbardziej prestiżowej instytucji naukowej w kraju ze strony resortu rolnictwa, organizacji rolniczych i związanego z rolnictwem środowiska naukowego. Więcej, kiedy o tym mówiłem z oburzeniem na jednym z ważnych spotkań tego środowiska, ponad rok po podjęciu przez PAN tej decyzji, spotkałem się z reakcją: „co ty mówisz, nic o tym nie słyszeliśmy”. Podobnie reagowali przedstawiciele organizacji rolniczych i to bardzo wysokiego szczebla. Czy konsultowano się wcześniej w tej sprawie z kierownictwem resortu rolnictwa – nie wiem, w każdym razie nie było z jego strony żadnej publicznie znanej mi reakcji. Co to oznacza, jeśli nie – nieprzywiązywanie przez nie większego znaczenia do roli i prestiżu nauk rolniczych?

3. Kurczy się dawna ilość, świetność i znaczenie resortowych naukowo-badawczych instytutów rolniczych

W ostatnich latach nastąpiła redukcja ilości naukowo-badawczych instytutów resortu rolnictwa oraz stopnia ich finansowania. Według jednoznacznej opinii w środowisku, obecnie obserwuje się znaczne obniżenie ich uczestnictwa w rolniczych programach badawczych oraz upowszechnianiu i wdrażaniu ich wyników do praktyki. Tych, co pamiętają dawną świetność takich instytutów, jak np. Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa, Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin, Instytutu Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa, Instytutu Sadownictwa i kilku jeszcze innych ogarnia żal i smutek. Trudno zgadnąć, dlaczego tak się stało i dlaczego nie protestowali przedstawiciele licznego w kraju rolniczego środowiska? Nie pamiętam

jakiegokolwiek publicznej czy środowiskowej dyskusji na ten temat, a rada naukowa przy Ministrze Rolnictwa już dawno przestała być powoływana.

4. Współczesne zmiany motywacji przy wyborze rolniczych tematów badawczych

Celem badań w rolnictwie, jak w każdej innej dziedzinie są oczywiście nowatorskie odkrycia, wzbogacające naszą ogólną wiedzę lub usprawniające procesy produkcyjne w danej dziedzinie gospodarki. Pierwsze zwykle nazywamy badaniami podstawowymi, drugie stosowanymi lub aplikacyjnymi. Nie ulega wątpliwości, że badania w zakresie rolnictwa (lepiej: dla rolnictwa) to głównie prace o charakterze aplikacyjnym i taka ich definicja była do niedawna ogólnie przyjęta, a hasło – „**Rolnicze badania naukowe mają służyć praktyce**” było ogólnie akceptowane tak przez środowiska akademickie, jak i przez władze oraz rolniczą społeczność.

Niestety, dziś można sądzić, że hasło to nie tylko zostało odłożone do przysłowiowego „lamusa”, ale nikt z ubiegających się obecnie o fundusze na badania w dziedzinie rolnictwa nie użyje argumentu o przydatności ich wyników dla praktyki, bo zapanowała powszechnie opinia, że taki argument zmniejszyłby szanse na otrzymanie grantu. Trudno w to uwierzyć i wydawałoby się, że to absurd. Sprawdzałem – niestety rzeczywiście panuje taka opinia w rolniczym środowisku akademickim i to od asystenta do profesora. Opinie o niepopularności kryterium przydatności dla praktyki przy ocenie wniosków o granty sprzyja, jak się wydaje, obecny system oceny dorobku pracowników nauki przez naliczanie punktów za publikacje w zależności od rangi czasopism, z preferowaniem zagranicznych periodyków. System ten jest nie tylko bezduszny, ale powoduje negatywne skutki, jak np. mnożenie u nas i w wielu krajach rozwijających się ilości czasopism naukowych publikujących prace po angielsku, w których za opublikowanie prac się płaci, ale które mało kto czyta. Stąd można np. obecnie znaleźć polskie prace z dziedziny produkcji zwierzęcej publikowane po angielsku w Chile, Indiach, Egipcie czy na Ukrainie. Wymagania wydawcy są tam niskie, ale za to opłaty za publikowanie są wysokie. To ostatnie, z racji pokrywania tych kosztów z dotacji na

badania, nie jest przeszkodą. Innym niekorzystnym zjawiskiem, spowodowanym niewłaściwą metodą oceną dorobku naukowego – przynajmniej pracowników nauk rolniczych – jest sztuczne mnożenie współautorów, nawet w przypadku popularnych prac przeglądowych, spowodowane tym, że jednostka badawcza oceniana jest sumą punktów otrzymanych przez jej wszystkich pracowników. Niestety, dość często zachęca to nie tyle do pożytecznego kolektywnego wysiłku, co do koniunkturalnego wykorzystywania przepisów.

5. Współczesne zmiany w procesach upowszechniania i wdrażania postępu w rolnictwie

Do niedawna działalności te były domeną i służb państwowych, względnie samorządowych oraz uniwersytetów, i specjalistycznych instytutów naukowo-badawczych. Ostatnio jednak w warunkach narastającej intensyfikacji rolnictwa w krajach rozwiniętych na arenę wkroczył potężny przemysł środków produkcji, powodując zmierzch *roli społecznych form doradztwa rolniczego, co można obserwować także na polskiej wsi*. Państwowy czy samorządowy system doradztwa rolniczego został zastąpiony przez dosłownie najazdy agentów wielkich międzynarodowych firm produkujących środki produkcji dla rolnictwa. Dotyczy to głównie gospodarstw większych, tzw. towarowych. Gospodarstwa drobnotowarowe zdają się być całkowicie pozbawione doradztwa w sprawach produkcyjnych. Nikt tam już dawno nie szuka praktycznych porad u instruktorów państwowych czy samorządowych służb doradczych, które teraz są pomocne głównie przy pisaniu podań o dotacje, ani nikt już na wsi nie oczekuje wizyt i rad pracowników instytutów naukowo-badawczych czy jednoosobnych katedr uczelni rolniczych, nie wspominając już o studentach akademii rolniczych, szukających spontanicznie kontaktów z praktyką, jak to dawniej bywało.

Wiem, że używam mocnych słów, ale każdy może dostrzec gołym okiem, że społeczny system doradztwa rolniczego został na współczesnej polskiej wsi w ogromnym stopniu zastąpiony przez agentów firm dostarczających środki produkcji rolniczej. Agenci tych firm szturmują wręcz wszystkie większe gospodarstwa w kraju, są bardzo aktywni, elokwentni i trzeba przyznać

dość kompetentni. Na pierwszy rzut oka nie należałoby się dopatrywać w tym niczego złego. Takie zjawisko obserwuje się w większości gospodarczo rozwiniętych krajów, gdzie jednocześnie nastąpił ogromny postęp w metodach i efektywności produkcji rolnej. Postęp odnotowujemy także u nas. Jednak u nas doradcza ekspansja firm produkujących środki produkcji dla rolnictwa nastąpiła w okresie przemian ustrojowych w kraju i pełnej dezorientacji oraz osłabieniu organizacji producentów rolnych. A przecież, z pełnym szacunkiem dla efektywności doradztwa organizowanego przez firmy handlowo-przemysłowe trzeba pamiętać, że motywem ich działania w gospodarce wolnorynkowej jest zysk, a w obecnych warunkach producent rolny stał się w zasadzie bezbronny. Stracił on w dużym stopniu oparcie w państwowej służbie doradczej, a dość aktywne do niedawna w kontaktach ze wsią uczelnie rolnicze dalekie już są od nadawaniu priorytetu upowszechnianiu wiedzy rolniczej, a resortowe instytuty naukowo-badawcze, pozostawione przez ministerstwo w dużym stopniu „samym sobie”, poświęcają całą energię walce o granty w nurcie ogólnie modnych haseł, bo tylko to pozawala im dziś na przeżycie.

Stąd niestety, omawiane wyżej zjawisko – prócz zauważalnych pozytywów – niesie ze sobą także niebezpieczeństwo zderzenia się interesów między promującymi nowe technologie i środki produkcji przedstawicielami przemysłu a ich odbiorcami.

Przykład pierwszy z brzegu – czasopiśma popularno-instruktarzowe z zakresu hodowli bydła. Jest ich chyba pięć, wydawane są przez prywatne firmy i aż roją się od rozmaitych reklam środków produkcji. Jest tajemnicą poliszynela, że finansową podstawą egzystencji tych czasopism są reklamy, a nie prenumeratorzy. Skutkiem tej sytuacji jest częste dobieranie artykułów pod tematy ogłoszeń, np. zamawia się artykuł o znaczeniu różnych składników mineralnych pasz, a obok ogłoszenie firm produkujących preparaty z tymi minerałami. Samo w sobie nie musiałoby to być naganne, gdyby nie było sprzecznych interesów producentów i nabywców, i gdyby ktoś na bieżąco kontrolował prawdziwe zalety oferowanych produktów poza certyfikatem ich dopuszczenia przez UE.

To prawda, że czasami poszczególne firmy zlecają naszym jednostkom naukowym

testowanie ich produktów, ale w umowach zastrzegają sobie zwykle decyzję o publikowaniu wyników. Łatwo sobie wyobrazić co to oznacza. Testowanie takich produktów przez krajowe placówki naukowo-badawcze na własną rękę i publikowanie ich wyników grozi natomiast procesami sądowymi i takie przypadki miały już u nas miejsce. Czy można zatem dziwić się, że nasze środowisko naukowe stroni od ingerowania w sprawy adekwatności ogłaszanych zalet produktów do ich rzeczywistej wartości. Co to oznacza w praktyce niech świadczy poniższy przykład ogłoszenia, zamieszonego ostatnio w kilku popularnych fachowych czasopismach (cytuję w sposób zakodowany, aby nie ryzykować sądowym pozwaniem).

Preparat (z grupy probiotyków):

– *wzrost naturalnej odporności – poprawa zdrowotności i kondycji – ograniczenie chorób i upadków – mniejszy udział leków podczas chorób – pełne wykorzystanie składników paszy – profilaktyka mastitis. 70 zł/kg na 5 kg paszy jakiegokolwiek.*

Zadzwoń do źródła ogłoszenia, potwierdzono zakres działania tego preparatu. Nikt oczywiście nie może kwestionować pozytywnego działania probiotyków i celowości ich stosowania w określonych warunkach, ale wmawianie hodowcom i to w celach handlowych, że działają one pozytywnie na wszystko i to w każdej sytuacji, jest moim zdaniem niedopuszczalne, ale o dziwo dokonywane jest bez protestów.

Za moich studenckich czasów takie ogłoszenie (jeżeli nawet mogłoby się ukazać) stałoby się atrakcyjnym poligonem do dyskusji (a nawet żartów), nawet dla młodych adeptów nauk zootechnicznych. Szkoda, że dziś moi młodzi koledzy w takich i podobnych sprawach nie kwapią się do stawiania w dyskusyjne szranki. To jednak nie ich wina, a skutek atmosfery ulegania dysponentom środków, jaka ostatnio panuje w naszym środowisku. Wiem, że oficjalna kontrola jakości dostarczanych rolnictwu środków produkcji jest trudna lub wręcz niemożliwa, ale dlaczego dotąd nikt się u nas nie odważył, aby wzorem krajów rozwiniętych wprowadzić system zalecania poszczególnych środków produkcji przez odnośne organizacje rolnicze, które z kolei współpracowałyby w tym celu ze środowiskiem naukowym. Poszczególne firmy

mogłyby z takich możliwości korzystać albo nie. Dlaczego wreszcie nie zapewnić krajowym placówkom naukowym prawa badania właściwości dostarczanych naszemu rolnictwu środków produktów i bezpiecznego ogłaszania ich wyników? Na pewno w wielu wypadkach uzdrowiłoby to sytuację. No i ostatnia sprawa – wielkie firmy omijają całkowicie gospodarstwa drobne, które z natury rzeczy nie są ich potencjalnymi klientami, ale których udział w krajowej produkcji rolnej jest znaczący. Czy Ośrodki Doradztwa Rolniczego wypełniają tę lukę?

6. Kogo zatem winić za obecne rozluźnienie kontaktów krajowego środowiska naukowego z praktyką rolniczą?

Zdaję sobie sprawę z tego, że nie mam uprawnień do autorytatywnego wydawania sądów, jednak uważam, że zawarte wyżej krytyczne sformułowania zobowiązują przynajmniej do poruszenia na końcu tych rozważań także tego tematu. Jak w wielu podobnych przypadkach tak i tu najłatwiej i najbezpieczniej jest orzec, że winni jesteśmy wszyscy, tj. aparat państwowy, środowisko naukowe oraz reprezentujące rolników ich zawodowe organizacje, ale w tym przypadku chyba rzeczywiście tak jest.

6 A. Wymieniając tu aparat państwowy mam na myśli przykładowo brak dostatecznego zainteresowania resortu rolnictwa programami badawczymi nawet własnych instytutów oraz kształceniem kadry dla tej dziedziny gospodarki narodowej, jak i będący dziełem Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego ułomny system kwalifikacji badań oraz wywołujący atmosferę pogoni za punktami system oceny pracowników naukowych.

6 B. Nie są też bez winy zawodowe organizacje rolników, które nie wykazują specjalnie zainteresowania ściślejszymi kontaktami i współpracą z krajowym środowiskiem naukowym. Pamiętam dwa Kongresy Rolnictwa Polskiego w 2003 i 2004 r., zorganizowane przez istniejącą wówczas Polską Radę Rolną (w skład której wchodziły prawie wszystkie pozarządowe organizacje zawodowe rolników) przy udziale rolniczego środowiska pracowników nauki. Pierwszemu Kongresowi przewodniczył Alfred Domagalski (ówczesny przewodniczący Krajowej Rady Spółdzielczości). Drugiemu z nich

miałem zaszczyt przewodniczyć ja, jako ówczesny przewodniczący Polskiej Rady Rolnej, w skład której wchodziły prawie wszystkie zawodowe organizacje rolników. Niestety, na skutek różnicy poglądów wewnątrz ówczesnej Polskiej Rady Rolnej oraz braku poparcia ze strony władz państwowych ta ciekawa i pożyteczna inicjatywa nie była kontynuowana.

6 C. A samo środowisko naukowe? Ze zrozumiałych względów bardzo nieśmiało podejmuję ten wątek, ale parafrazując wypowiedź znanego polityka – „nie chcę ale muszę” uwzględnić i ten wątek poruszanych w tym opracowaniu problemów. Ośmielam się stwierdzić, że nie jesteśmy tu bez winy.

- a) Odnoszę wrażenie, że środowisko nasze na skutek specyficznej polityki władz uległo atmosferze pogoni za grantami i kolekcjonowaniem punktów za publikacje, stroniąc od publicznych dyskusji na tematy, jak np.: „Jakie winny być u nas priorytety w badaniach naukowych dla rolnictwa?”.
- b) Podczas obserwacji sceny rolniczych badań naukowych w kraju uderza brak koordynacji i współpracy między odpowiednimi placówkami szkolnictwa wyższego, Polskiej Akademii Nauk i resortowymi naukowo-badawczymi instytutami. Dotyczy to zarówno badań, jak i dydaktyki.

Oto jaskrawy tego przykład. Jak wiadomo, ostatnie osiągnięcia w biotechnologii zrewolucjonizowały m. in. hodowlę zwierząt, umożliwiając tzw. genomową selekcję. Wiele krajów korzysta z tych rewolucyjnych zdobyczy nauki od lat ze wspaniałymi rezultatami.

A Polska? W naszym kraju, mimo że mamy co najmniej trzy ośrodki naukowe w pełni kompetentne w tej dziedzinie i wyposażone w niezbędną dla tych celów nowoczesną aparaturę, nasza praktyka musiała sięgnąć po doradców zagranicznych i stworzyć dla tych celów własne laboratorium.

Powodem były spory między kompetentnymi placówkami o to, której przysługuje pierwszeństwo przy braku dostatecznego zainteresowania władz.

*

Zdaje sobie sprawę z tego, że w tekście tym poruszyłem wybiórczo szereg ważnych problemów dotyczących związku między nauką a praktyką rolniczą w kraju i przedstawiłem je w sposób dość prowokujący. Postąpiłem tak głównie dla wywołania dyskusji na temat aktualnych powiązań nauk rolniczych z praktyką, na który to temat słyszy się dotąd tylko nieśmiało, ale bardzo krytyczne głosy w zaciszu kuluarów.

Uczyniłem tak wiedząc, że jako emerytowi łatwiej i bezpieczniej jest mi o tym pisać niż moim młodszym kolegom.

I na końcu postulat czy prośba – wróćmy do idei organizowania kongresów rolnictwa polskiego w formie spotkań przedstawicieli producentów i nauk rolniczych w celu wymiany poglądów na temat dalszego rozwoju polskiego rolnictwa i jego oczekiwań w stosunku do krajowego potencjału kształcenia i badań naukowych w tej dziedzinie.

Autor jest emerytowanym profesorem SGGW. W latach 1975–1981 był rektorem tej uczelni, a w latach 1969–1975 oraz 1983–1989 pełnił funkcję dyrektora departamentu w Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa (Food and Agriculture Organization of the United Nations, FAO) w Rzymie. Pełnił również szereg kierowniczych funkcji w społeczno-zawodowych organizacjach rolników i hodowców.



Profesor Henryk Jasiorowski
(www.farmer.pl)